



Rozmowy z autorami



lubimyczytać.pl

Rozmowa z Niną Reichter

Ann: Jaki jest Pani zdaniem przepis na sukces?

Myślę, że jest taki sam od wieków, w dodatku w kółko powtarzany, ale ludzie nie chcą go przyjąć, bo to niewygodne. Trafnie określił to Tomek Tomczyk: „Patrząc w lustro, widzę kombajn”. Jednak odpowiedź, że za wszystkim stoi mnóstwo pracy, demotywuje. Dlatego ludzie wciąż pytają. Liczą, że za setnym razem usłyszą co innego. Kilka lat temu pojawiła się na rynku taka książka, bardzo popularna, *Sekret* Rhondy Byrne. Przeczytałam ją z ciekawością, choć unikam poradników. Mówiła o tym, by wizualizować spełnienie marzeń, przyciągać dobrą energię, myśleć dużo o szczęściu. Idea mi się podobała, bo zawierała pozytywny przekaz, ale obawiałam się, że sedno sprawy zostanie źle zrozumiane. Niedawno natrafiłam w sieci na wywiad z jedną z osób, która wypowiadała się w tej książce w charakterze mentora. To był mężczyzna, z zawodu psycholog. Powiedział, że jakiś czas po ukazaniu się książki zaczęli się do niego zgłaszać ludzie, którzy – zamiast działać i wspierać swoje działanie pozytywnym nastawieniem – zastosowali się do jej rad poprzez założenie rąk, czekanie na mannę z nieba i wysyłanie w kosmos pozytywnej energii. Uwierzyli, że przeznaczenie samo zaprowadzi ich do celu.

I jedyne, co przyciągnęli, to długi. Dlatego wolę brać odpowiedzialność za własne porażki, bo wtedy mogę brać także odpowiedzialność za sukcesy. I staram się nie mieć roszczeniowej postawy. Wciąż się tego uczę.

Magdalena: A czy wierzy Pani w nieuchronność losu? W to, że ktoś, gdzieś, kiedyś zaplanował nasze życie, że drogi określonych ludzi po prostu musiały się skrzyżować, że stanie się tak, a nie inaczej? Czy wręcz przeciwnie – czuje się Pani kreatorem własnego losu? Wierzy Pani w przypadek czy przeznaczenie?

Czy wierzę w przeznaczenie? Z jednej strony nie, a z drugiej (tu analiza zbiegów okoliczności w życiu niżej podpisanej) – nie wiem. Gdyby podejść do przeznaczenia jako do braku konieczności dokonywania wyborów, to się od tego odżegnuję. Uważam, że najważniejsze jest to, aby wyrobić w sobie poczucie kontroli nad własnym życiem – chociażby to miało się okazać złudnym przeświadczeniem. Jeżeli je w sobie wyrobimy, przestaniemy marzyć, zaczniemy natomiast działać.

Z marzeń pozostawionych samym sobie powstają niespełnione ambicje, z działań – osiągnięte cele. Skłaniam się więc ku kreowaniu losu nakładem pracy. Jednak w kwestii przypadkowych spotkań,

zbiegów okoliczności mających znamienne konsekwencje, i innych, czasem niewytłumaczalnych spraw, które wpływają na nasze życie – tak, wierzę, że może stać za tym jakiś rodzaj planu. Jednak ten plan możemy dostrzec, dopiero patrząc wstecz.

Created Eternity: Jak Pani sądzi, jest Pani idealistką, pesymistką, a może optymistką?

Jestem realistką, która jednak wyrzuciła sobie życie dla kaprysu. I która uczy się być optymistką, bo warto.

Jemenos: Czy w swojej twórczości stara się Pani przekazać swoje poglądy, rady, jak żyć?

Nie. Myślę, że próba szerzenia życiowych nauk i prawd poprzez powieść o rockmanie to byłby egotyzm, ponadto dość nieznośny. Z drugiej strony ktoś mądry powiedział kiedyś: jeśli chcesz się przekonać, w co tak naprawdę wierzysz, zacznij pisać. Więc chyba nie da się od tego uciec. Wydaje mi się, że można się bardzo zdziwić, czytając po pewnym czasie własne teksty i odkrywając w nich przekonania schowane wcześniej tak głęboko, że nawet nie miało się o nich pojęcia. Więc w pewnym sensie poprzez książki pouczam, jak żyć, ale nie czytelników – przede wszystkim siebie.

Majka00: **Miała Pani momenty, gdy chciała się Pani przenieść do własnej książki i przywołać do porządku którąś z postaci?**

Nie, bo moim zadaniem nie jest przywoływanie ich do porządku, a jedynie obserwowanie i relacjonowanie tego, co się dzieje. Gdybym chciała ingerować w to, jak zachowują się postacie, bawić się w cenzora ludzkich postępowań, przypominałoby to *Matrixa*, w którym autor to policjant wiecznie ścigający bohatera, chcący go na siłę wyprostować. To tak nie działa. Natomiast czy miałam ochotę czasem szepnąć: „Wstawaj, jeszcze trochę, nie poddawaj się!” – jasne. Ale przecież w życiu mamy momenty, kiedy aż się prosi, żeby ktoś szepnął nam coś do ucha i naprowadził na właściwe tory. Ale tak się nie dzieje. Opatrzność nie podpowiada, pozwala nam popełniać błędy. Dlaczego więc miałabym strofować bohatera? Nie widzę powodu.

Annabeth: **Czy wierzy Pani w miłość od pierwszego wejrzenia?**

Wierzę w idealną chemię od pierwszego wejrzenia i w dezercję rozumu (lub jego ewidentne przemieszczenie) w takim wypadku. To piękne chwile, pełne wariackich decyzji, wspominamy je potem latami. „Ale miłość to jednak co innego” – chciałoby się rzec. Bo ja

wiem? Jeżeli zauroczenie i chemia potrafią popchnąć nas do daleko idących poświęceń, w moim pojęciu jest to rodzaj miłości. Inna sprawa, czy odpowiedzialnej.

Majka00: Wiemy, że złoty stół w książce wzięty był z prawdziwego życia. Czy jest jeszcze coś, co przeniosła Pani z życia na karty powieści?

Oczywiście. Kilka scen wręcz spisałam z pamięci. Lecz w większości to nie sceny są w książce prawdziwe, ale wnioski. Coś się zdarzyło, coś minęło, a coś w człowieku pozostało i to, co zostało, z reguły trafia na karty książki – finezyjnie przekształcone i ubrane w szaty cudzych przeżyć. Tylko autor wie, gdzie w książce znajdują się te, niemal sekretne, miejsca. Do tamtych scen najczęściej wracam. I to do nich się uśmiecham.

Gumciobook: Jaka jest Pani ulubiona scena z *Ostatniej spowiedzi*?

Chyba nie jestem w stanie wybrać jednej, ale jeśli miałabym określić tom, w którym jest ich najwięcej, to zdecydowanie w mrocznym tomie trzecim. Jest tam kilka scen, które uwielbiam. Są boleśnie prawdziwe, nie ma na nich lukru. Takie sceny podobno

trudno się pisze. Dla mnie – najłatwiej. Smutna, pełna żalu scena jest metaforą dla tak wielu rzeczy, że dla mnie – jako osoby raczej refleksyjnej – niesie ze sobą bardzo mocny przekaz, jest wielowarstwowa, wartościowa. Opisywanie miłosnych uniesień nie ma tych walorów. Nie oznacza to, rzecz jasna, że tom trzeci będzie swoistą kombinacją nieszczęść –w żadnym razie. Ale pytanie dotyczyło ulubionych scen, więc odpowiedź nie może być inna.

Vivianna: Czy fani mogą się spodziewać spotkania z Panią, w czasie którego można by było zdobyć autograf i zamienić z Panią kilka słów?

Mieszkam za granicą, więc jest to trudne. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie taka możliwość.

Mamnamysz: Pisze Pani książki z myślą o kobietach i młodzieży. Jak Pani myśli, jakie uczucia wywoła *Ostatnia spowiedź* w nastoletnich czytelnikach, a jakie w dorosłych kobietach?

Myślę, że zupełnie różne. Oczywiście będzie wspólny mianownik. Jednak nastolatki podejną do postawy głównej bohaterki z dużą dozą buntu. Dorosłe kobiety z uśmiechem Mony

Lisy przypomną sobie własne podobne wybory i będą rozumiały, dlaczego Ally dokonuje właśnie takich. Inne płaszczyzny, na jakich powieść jest odbierana, wynikają z doświadczenia życiowego czytelnika. Nastolatki wierzą w to (i oby wierzyły jak najdłużej), że wchodzą w dorosłe życie po to, aby zmienić świat i nadać mu kształt pasujący do ich wyobrażeń. Dorośli już się przekonali, że świat ma wiele twardych reguł, a walcząc z nimi zbyt gorliwie, można sobie co najwyżej obić tyłek. *Ostatnia spowiedź* jest historią o miłości, ale przede wszystkim o ewolucji charakteru, a także o utracie naiwności... i w końcu o godzeniu się z losem. A prawdziwie pogodzić się z losem – niezależnie od wieku – potrafi tylko człowiek dojrzały.

Majka00: Gdyby miała Pani możliwość przeżyć to samo co Ally, postąpiłaby Pani tak samo jak ona?

W okresie, kiedy pisałam *Ostatnią spowiedź*, czyli kiedy byłam znacznie młodsza – tak. Postąpiłabym prawdopodobnie tak samo. Jednak nie ingerowałam w to, co Ally jako bohaterka chciała zrobić, natomiast warunek był jeden: musiałam rozumieć jej wybory.

Created Eternity: Czy zdarza się Pani wzruszać/śmiać podczas tworzenia książki?

Oczywiście. Powiem więcej. Dopiero, kiedy scena działa na mnie w emocjonalny sposób, idę dalej.

RavenStark: Czasami pisarze mają weny dopiero pod koniec dnia. Czy zdarzało się Pani zarywać noce lub, mówiąc inaczej, czy pisała Pani wtedy z obawy, że następnego dnia po tej myśli nie będzie już śladu?

Obawiam się, że pojęcie weny jest przereklamowane. Oczywiście zdarzają się dni, kiedy pisze się lepiej, sprawniej, łatwiej. Zdarzają się też takie, kiedy spłodzenie tych paru zadowolających linijek jest istną katorgą, a cały proces pisania traci magiczną otoczkę zabawy. Pamiętam wieczory, kiedy wpadałam na pomysł, a potem pisałam tak długo, aż ołówek się stał, błysk się wyczerpał i nie zostało ani jedno słowo do dodania. To piękne chwile.

Ale pisanie książek to – wbrew obiegowej opinii – praca jak każda inna. I zapewniam Panią, gdyby pisarze czekali na weny, majątek większości z nich zlicytowałby komornik. Sztuka polega na tym (nie wiem, czy już ją opanowałam), by czytelnik nie mógł rozpoznać, które fragmenty książki to te pisane w lepsze dni, a które

pisarz niemal urodził. Mniej więcej tak to wygląda.

Magdalena: „Miłość, zazdrość, show-biznes. Ostatnia spowiedź. Poczuj, jak kocha ten, którego kochają tysiące...” – to zdania, które reklamują Pani książki. Jak chciała Pani, by czytelnik je odebrał?

Bardzo dosłownie. Myślę, że w tomie drugim jest scena, w której czytelnik czuje to dość namacalnie;-)

Lilvy: Zawsze zastanawiałam się, dlaczego to akurat cudowne *Catalyst* Anny Nalick wystąpiło w tym właśnie momencie książki. Czy z tą piosenką związana jest jeszcze jakaś inna historia, czy po prostu jest ona częścią historii Toma i Ally?

Catalyst towarzyszyło mi w zimowe dni, kiedy musiałam ponad godzinę tłuc się na uczelni, zmieniając kilkakrotnie środek transportu. Zawsze było podobnie. Najpierw autobus, potem tramwaj, za oknem zamieć. W drodze układałam kolejne sceny, a ta piosenka wprawiała mnie w niesamowitą melancholię. Słuchając jej któregoś dnia w jednym z tych klekocących tramwajów, prawie spóźniona na zajęcia i przekonana, że scena, którą układałam, jest

już skończona, usłyszałam w myślach, jak Tom mówi do Ally: „Zatańcz ze mną”. Wyobraziłam sobie jego wzrok. Niesamowity, do granic przepełniony bólem.

A potem wszystko rozegrało się w mojej głowie, jakbym to miała przed oczami. To był świetny moment – jeden z tych, kiedy opowieść tworzyła się sama, a ja miałam jedynie za zadanie nic nie zepsuć przy późniejszym zapisywaniu wizji.

Meme: Z doświadczenia wiem, że najtrudniejsze to wytrwać w tworzeniu, na nowo odnajdować motywację do pracy i cel pisania, gdy dotyczą nas małe i większe kryzysy. Jak sobie Pani radziła, kiedy przychodziły trudniejsze dni? Co stanowiło dla Pani motywację? Co nie pozwalało Pani porzucić pisania w chwilach zwątpienia?

Zawsze wychodziłam z założenia, że jeżeli znajdzie się w sobie wystarczająco mocne „dlaczego”, znalezienie „jak” pozostanie tylko kwestią czasu. Kryzysy – owszem – przychodzą, ale tylko wtedy, gdy się czuje, że można sobie na nie pozwolić. Podczas pisania *Ostatniej spowiedzi* nie dopadł mnie żaden, bo tekst wychodził w odcinkach, więc wiedziałam, że zbyt dużo ludzi czeka na jakikolwiek mój ruch, żebym mogła siedzieć, zbijać bąki i bredzić jakieś bzdury o wienie. Tekst miał być w niedzielę – i był.

Oczywiście nie twierdzą, że nie zarywałam przy tym nocy, ale też nie rozkładałam rąk. Myślę, że ostatnio dość zapomnianym, a dobrym sposobem na kryzysy i inne *weltschmerze* jest kopnąć się w tyłek. Poza tym do robienia rzeczy, które naprawdę chce się robić, żadna motywacja nie jest potrzebna. Natomiast jeśli chodzi o wewnętrznego krytyka, który siedzi na karku i podpowiada, że wszystko jest do chrzaniu, myślę, że warto go wyłączyć na czas pisania pierwszej wersji tekstu. Pierwsza wersja to szkic – i nie mówię tego jako osoba z wielkim doświadczeniem, powtarzam za Kingiem. Kiedy pisałam pierwszą wersję *Ostatniej spowiedzi*, mało wiedziałam o wewnętrznym krytyku – gdybym wiedziała więcej, najpewniej by mnie zabił. Natomiast teraz bardzo lubię wracać do tamtej pierwotnej wersji. Człowiek ma to do siebie, że zapomina, jak było, ile poprawił, wyrzucił. I w końcu wydaje mu się, że wszystko, co napisał, wyglądało dokładnie tak, jak teraz: uładzone i wypolerowane, takie jak w książce. To nieprawda. Za każdym razem, gdy zasiadam do nowych projektów, a wewnętrzny krytyk drze się: „Byłaś taka dobra, gdzie to się podziało?”, otwieram stary plik i czytam ten kulawy tekst. Potem porównuję z tym dzisiejszym. Gdybym pozwoliła krytykowi zablokować mnie już na tamtym etapie, żadna seria na pewno by nie powstała. Powstałoby natomiast mnóstwo urywków, zasiedlających ciemny kąt na dysku i karmiących wyrzuty sumienia. Dlatego staram się uciszyć krytyka,

gdy pracuję nad czymś nowym (choć to trudne – każdy, kto napisał w życiu więcej niż tylko broszurkę informacyjną, dobrze wie, o czym mówię). Jednak nie pozbywam się krytyka całkowicie. Solennie mu przyrzekam, że pozwolę mu się wykrzyczeć przy pierwszej redakcji, potem drugiej i kolejnych. Wtedy jego rady są nieocenione, więc dotrzymuję danego mu słowa.

Alina: Czy jest jakaś książka, którą mogłaby Pani uznać za swoją osobistą porażkę?

Wszystko, co uznaję za porażkę, wyrzucam, zanim tekst trafi do druku. Choćby miało to dotyczyć jednego zdania, które gdzieś tam mnie mierzi. Więc nie, w książce nie ma takich fragmentów.

Agatrzęs: Pani powieści naładowane są emocjami przedstawionymi w bardzo „namacalny” sposób, który sprawia, że czytelnikowi trudno zachować obojętność. Musi być Pani doskonałą obserwatorką otaczającego świata, a może w tej kwestii czerpie Pani inspirację z własnych doświadczeń?

„Namacalność” scen to nic innego, jak szukanie słów, które stworzą jak najlepszy obraz. A najlepszy, to najwyraźniejszy, uchwyt dla czytelnika. Staram się pisać każdą scenę tylko jeden

raz – by nie przekłamać emocji, nie przekombinować dialogów. Ale te sceny poprawiam potem wielokrotnie – właśnie dla tego „wizualnego” efektu. Uważam, że najlepszym testem na „namacalność” scen, na „żywe obrazy”, jest wnikliwe czytanie własnych tekstów. Jeżeli ja, pomimo znudzenia sceną czytana po raz setny nadal widzę obraz, oznacza to, że czytelnik, nawet rozkojarzony, także go zobaczy. Natomiast jeżeli zdarzą się dwa zdania z rzędu, przy których odpłynę mentalnie, pomyślę o czymś innym – stracę również czytelnika. To prosta zależność.

Sophie: Czy jest w Pani życiu ktoś, kto Panią inspiruje lub jest dla Pani autorytetem?

Najlepiej czujemy się ze sobą wtedy, gdy jesteśmy spójni. Jeżeli mówimy co innego, niż myślimy, zawsze zapłacimy za to emocjonalny rachunek. Dlatego doceniam ludzi, którzy bez dyplomacji mówią, co myślą. W świecie zależności to rzadka zaleta. Autorytetem jest dla mnie mój Ojciec.

MyCuteCurlyBoy: Na czym zdaniu zależy Pani najbardziej, jeśli chodzi o Pani książki?

Własnym.

JaneS: Czy po sukcesie *Ostatniej spowiedzi* napisze Pani kolejne książki?

Oczywiście, kolejne projekty są już w realizacji, ukażą się najprawdopodobniej w przyszłym roku.

JaneS: Czy ma Pani w życiu jakieś chwile zwątpienia czy takie, w których czegoś Pani żałuje? Momenty w życiu, o których nie chciałaby Pani pamiętać?

Myślę, że nie ma na świecie osoby, która nie miałaby takiej swojej księgi skarg i zażaleń, księgi złudzeń, księgi szeptów. Ale w mojej z każdym rokiem nowo zapisanych stron jest coraz mniej. Lubię myśleć o sobie, że jestem już stara. To daje zabawne poczucie bezpieczeństwa i dystansu – jako trzydziestolatka czuję się paradoksalnie znacznie lepiej, niż gdy miałam lat dwadzieścia. Chwile zwątpienia też przychodzą rzadziej. Mam wrażenie, że z wiekiem człowiek nabiera zaufania do samego siebie. Wie, że jak się przewróci, to się podniesie, bo już nieraz to robił. I to zaufanie jest bardzo ważne, chyba najwartościowsze w życiu. Daje wewnętrzny spokój. Więc nie, teraz już nie ma chwil, o których chciałabym zapomnieć. Wszystkie trudniejsze momenty zdążyłam już dawno docenić.

Paulina: W jaki sposób pokazałaby Pani treść książki osobie, która jest niema, głucha i niewidoma? Jak oddać przesłanie, czuły dotyk, słowa tworzące historię?

To chyba najciekawsze pytanie. Zawsze byłam dość wrażliwa muzycznie. Uważam, że poprzez muzykę można oddać emocje jeszcze lepiej niż słowami. Najmocniej działa na mnie muzyka klasyczna i filmowa. Dlatego osoba, której miałabym opowiedzieć tę historię, musiałaby jednak słyszeć. Myślę, że opowiedziałabym ją poprzez delikatny dotyk dłoni. Subtelne muśnięcia, jakby jedna dłoń badała drugą. To chwila spotkania Ally i Bradina, ich noc na lotnisku. W tym dotyku można wyczuć dziecięcą nieśmiałość, lecz też całkiem dorosłą niepewność i strach. Słyszę przy tym *Divenire* Ludovica Enaudiego. Przy *Epicon* Immediate Music to już inna historia. Świat show-biznesu wkradł się w życie Ally i Bradina, jesteśmy trochę dalej. Widzę kobietę i mężczyznę biegnących w nocy przez las. Ścigani przez gończych potykają się i wstają pospiesznie, słysząc ich szybkie oddechy i szczekanie psów. Jest coraz ciemniej, coraz chłodniej, a oni wciąż ścigają się z czasem i z własnym przeznaczeniem. W końcu docierają do przepaści, ale krawędź gruntu jest we mgle. Nie wiedzą, że jeżeli zrobią jeszcze jeden krok, spadną.

No cóż, wychodzi na to, że *Ostatnią spowiedź* można opowiedzieć, biorąc kogoś na jogging. Ale tak na poważnie – chcę,

abyście zamknęli oczy i sami się przekonali, co widzicie w myślach, słysząc tę muzykę. Niech ona stworzy dla Was opowieść.

Drugi z wymienionych utworów był jedną z inspiracji podczas pisania *Ostatniej spowiedzi*, więc w moim odczuciu jest z nią mocno związany.

Anna: Jak chciałaby Pani być charakteryzowana jako pisarka? Jak chciałaby Pani, aby charakteryzowano czy klasyfikowano to, co Pani tworzy? Czytelnicy rozplývają się nad Pani niezwykłą zdolnością oddawania emocji w tekście – podkreślają, że to unikalny talent. King to mistrz horroru, Coben – przygodowego kryminału. Jak chciałaby Pani, aby klasyfikowano Pani teksty?

Myślę, że na jakąkolwiek klasyfikację za wcześnie. Przede wszystkim chciałabym, aby czytelnik rozumiał, że mnie nie należy oceniać tylko jeden raz. Pisanie to praca twórcza, i jako taka, podlega nie tylko zmianom nastroju autora, ale też zmianom tematu, w jakim autor uważa, że ma coś do powiedzenia. Oczywiście nie oznacza to, że nie wierzę w specjalizację – prawdopodobnie nigdy nie wezmę się do SF, bo nie mam o nim pojęcia. Jednak uważam, że odbiorcę warto przyzwyczaić – i najlepiej dość szybko – do tego, że piszę rzeczy różnorodne. Daje to na pewno większy komfort pracy.

Created Eternity: **A czy dużo Pani czyta?**

Staram się czytać 3–4 godziny dziennie.

Sylwia: **Czy czytając książki innych autorów, ma Pani wrażenie, że można by napisać je lepiej?**

Bywało, że miałam takie butne przeświadczenie. Im dłużej piszę, tym rzadziej je miewam i tym szybciej mi przechodzi.

JaneS: **Jakiemu miastu nadałaby Pani miano tego najpiękniejszego?**

Chyba wybrałabym Sydney, ale być może wynika to z sentymentu. Mieszkałam tam dość długo, będąc nastolatką i pamiętam Australię jako kraj serdecznych ludzi, żyjących pod znacznie mniejszą presją społecznych wymagań i moralnych obwarowań. Niewiarygodny, idylliczny obrazek? Wyjaśnię tylko tyle, że wszystkie biura i sklepy, poza restauracjami i małymi kafejkami, zamykały się o 16.30, aby właściciele (i klienci) mogli spokojnie pójść z dziećmi do parku i spędzić czas z rodziną. Bajeczna przyroda stanowiła plus, ale znacznie większym okazała się przyjazna ludzom gospodarka. Inna była też kultura mediów – za wyszydzenie gości na wizji (w Polsce tak powszechne

i wywołujące poklask) prowadzący wylatywał z programu. Ale świat poszedł do przodu, cynicy mieszkają w kilometrowych apartamentach, więc może i w Australii się to zmieniło – nie wiem.

MyCuteCurlyBoy: Jakie jest Pani ulubione miejsce na Ziemi, w którym czuje się Pani szczęśliwa i spełniona?

Jest taki maluteńki domek na skale, w Prowansji. Stoi samotny, jeden, otoczony lasem piniowym. Roztacza się z niego piękny widok aż po horyzont. Staram się tam uciekać – jeśli tylko praca pozwala – raz w roku.

Angela21: Kim chciała Pani zostać, kiedy była mała?

Absolutnie nie jestem pod tym względem oryginalna. Chciałam zostać piosenkarką albo archeologiem. Piosenkarką, aby mieć piękne suknie, archeologiem, żeby móc zajrzeć mumii pod bandażę (jeżeli uściślimy, że miałam wtedy sześć lat, a mumifikowano raczej mężczyzn, będzie jasne dlaczego).

14.11.2013